

Andrzej Jochelson

Śledztwo : Wrocław 1950

Palestra 37/3-4(423-424), 46-51

1993

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Andrzej Jochelson

Śledztwo: Wrocław 1950*

TEN OFICER ŚLEDCZY, KTÓRY BIŁ, wyglądał zwyczajnie. Cesał się w tył, miał miękkie i niebrzydkie rysy, szczękę mocno zarysowaną. Wyglądał na inteligenta, lecz w sposobie zadawania pytań i konstruowania zdań odczuwało się prymitywizm.

Pierwszy raz uderzył mnie przy piątym czy szóstym badaniu. Badania u niego zaczęły się 1 grudnia. Miał tzw. chiński system działań, polegający na zadawaniu kilkuset razy jednego i tego samego pytania. Było to przykre, ale całkowicie do zniesienia. Początkowe dwa czy trzy razy w czasie przesłuchania siedziałem w kącie na krześle. Potem badania odbywały się na stojąco. To męczyło, ale dawało się wytrzymać. Natomiast uderzenie pięścią w ciemniaczkę było doświadczeniem nieoczekiwanym i tym samym przykrzejszym. Rosjanie mają techniczne określenie na to uderzenie: „kazancanie w podzatyłok”. Uderzył mnie kostkami trzech środkowych zgiętych palców w tylną część czaszki. Pierwsze uderzenie przyjąłem jako rzecz przypadkową, jako dowód zdenerwowania oficera. Ale gdy w jakieś pięć minut potem uderzył mnie drugi raz, ręka mimo woli podniosła się do odwe-

tu. Zaprotestowałem. Przypomniałem, że aresztowanych bić nie wolno. Zaśmiał się i powiedział: „A kto ciebie bije”. Bo śledztwo toczyło się już „per ty”. Pierwsze badania odbyły się „per wy”, potem – wraz ze sforą wyzwisk – pretenjonalne „wy” zastąpiło zwyczajne „ty”, świadczące o zbliżeniu między badającym a badanym. Zaczęło się to w ten sposób, że trzeciego dnia badań, zamiast tradycyjnego „siadajcie”, oficer powiedział: „Kiedy nareszcie zaczniesz mówić prawdę, ty skurwysynie”. Od tego momentu przysły wszystkie formy. Ale i to było do zniesienia, natomiast „kazancami w podzatyłok” podrywał do buntu całą moją istotę.

Wmawiałem w siebie, że absolutnie muszę panować nad sobą i jedynie mogę upominać się ustnie o poszanowanie nietykalności aresztowanego, lecz jednocześnie mimo woli zaciskały się pięści. Zauważył to nawet oficer badający.

Na drugi czy trzeci dzień od rozpoczęcia bicia wszedł do pokoju inny oficer śledczy z fioletowymi patkami na kołnierzu i trzema gwiazdkami na ramieniennikach. Tyle gwiazdek mieli również kapitanowie. Poszeptali coś do siebie, a potem kapitan zwrócił się

* Przedruk z miesięcznika „Odra” 1991 r., nr 7-8

do mnie: „*Niedobrze, panie mecenasie, niedobrze. Niech lepiej pan się przyzna, bo u nas dokumenty są. My tu (uderzył w teczkę) dokumenty mamy, a pan nie chce mówić. I na oficera śledczego rękę pan podnosi.*” Oczywiście zaprzeczyłem, powiedziałem natomiast, że to oficer śledczy bije mnie pięścią w głowę, co jest niedozwolone. Zaprzeczył temu. Do dziś pamiętam aktorski uśmiech, dobrotliwy i dobroduszny na jego twarzączce, pośredniej między twarzą dziecka, ryjkiem prosięcia i obranym burakiem. „*To nieprawda, panie mecenasie. Panu musiało się to wydać, my pana oficera śledczego znamy: on nie uderzyłby was. To gra waszej fantazji*”. I uśmiechając się słodko, drobnutkim kroczkiem wydreptał z pokoju.

Okres tak zwanego ciężkiego śledztwa był jednym z najcięższych. (...)

„Samolotem” nazywano przejście z aresztu do sal urzędowania oficerów bezpieczeństwa. Szło się tam dostawianymi schodkami, a pułap był tak niski, że często uderzało się weń głową. Z reguły wywoływało to uśmiech konwojenta. Pewność, że idzie się po to, aby być bitym, zupełna bezsilność, wściekłość, że nie mogę wzmóc w sobie buntu, myśli o najbliższych i o śmierci, która wydawała się być bliższa i lepsza od tego poniżenia – wszystko to razem krążyło w mojej głowie. Podobno w trakcie doprowadzania popełnił samobójstwo p. Stefan Gergowich, naczelnik wydziału prawno-administracyjnego w Prezydium WRN, wzięty w obławie równocześnie ze mną. Wierzę, że to możliwe. Stalowe schody, którymi prowadzono nas do góry, kusiły do samobójstwa. Z ulgą odwracałem głowę i patrzyłem w głąb kilkunastometrowej otchłani, gdzie prócz stalowych stopni i stalowych rur – poręczy

nie było. Również i inni nasi współlokatorzy, jak burmistrz K. i podpułkownik M., przyznawali się, że zimny chłód stalowej klatki pociągał ich do samobójstwa. Z „samolotu” wyprowadzano więźnia na szerokie i równe, czysto wypucowane korytarze. Nad pokojami były umieszczone małe żaróweczki, świecące w czasie przesłuchania. Zza drzwi często słychać było płacz, jęki i krzyki. Zwłaszcza kobiety płakały i krzyczały. Pamiętam zwłaszcza jeden taki histeryczny krzyk. Wrzeszczała kobieta: „*Pan mnie wyrwie wszystkie włosy, pan mnie wyrwa włosy, to boli, moje włosy*”.

Prowadzono mnie do bicia przez trzy tygodnie, zawsze z poszanowaniem niedziel i świąt. Tuż przed Bożym Narodzeniem, 23 grudnia, byłem ostatni raz na ciężkim śledztwie. Uderzono mnie wówczas sto kilkadziesiąt razy. Wprowadzony zostałem uderzeniami w stan określony przez bokserów „groggy”. Chciało mi się wymiotować, wszystko kręciło się i wirowało wokół mnie, czułem obrzęk skóry na całej głowie. Wówczas ostatnie uderzenie otrzymałem od oficera pięścią w serce. Zemdlilo mnie zupełnie. Usiadłem bezwładnie jak wór kartofli. Uczułem piekący ból w okolicy serca, promieniujący na pachę i całe lewe ramię.

WŁADZE BEZPIECZEŃSTWA – w owym czasie niezależne i nie związane z MO – miały do mnie pretensje jako do radcy prawnego Jego Ekscelencji Ks. Inf. Karola Milika. Wraz z moim szefem broniliśmy dóbr kościelnych, zagarniętych przez władze świeckie jako „dobra poniemieckie”. Argumentowaliśmy zawsze, że Kościół jest jeden i dobra Kościoła rzymskokatolickiego w Niemczech, z chwilą, gdy ziemię dotychczas należącą do Nie-

miec powrócili do Polski – stawały się dobrami Kościoła w Polsce. Podstawą prawną był przepis, że dobra niemieckie osoby prawnej prawa publicznego przechodzą na własność odpowiedniej polskiej osoby prawnej prawa publicznego. Przeciwnicy wyznawali tezę, że Kościół rzymskokatolicki w Polsce nie jest osobą prawa publicznego.

Byłem radcą prawnym w Kurii od 1 listopada 1946 do 31 marca 1948 roku. Mój znajomy z czasów okupacji Stanisław P. radził mi, abym dla uniknięcia szykan i aresztu zrezygnował z pracy w Kurii. Dlatego też z dniem 31 marca 1948 roku rozwiązaliśmy, Jego Ekscelencja i ja, stosunek umowny. Natomiast w kancelarii mojej, prowadzonej prywatnie, pozostały sprawy z pozwów i wniosków Kościoła. I o to „bezpieka” miała do mnie pretensję. Również pretensję mieli do mnie o wystąpienie ze Stronnictwa Pracy.

Nie pamiętam, czy było to 20, czy 21 października 1950 roku. Byliśmy na koncercie symfonicznym, dyrygował Kazimierz Wilkomirski. Był to debiut Wandy Wilkomirskiej, która z towarzyszeniem orkiestry pod dyrekcją przyrodniego brata odegrała partię skrzypcową koncertu Czajkowskiego. Wróciliśmy zachwyceni techniką i interpretacją debutantki. O godz. 1 zadzwonił energicznie dzwonek. Psy zaczęły ujadać, a mieliśmy wtedy dwa: jamniczkę Ciapę i foksteriera Dropsa. Sam otworzyłem drzwi. W drzwiach stał oficer Straży Leśnej w zielonym mundurze, a za nim dwaj milicjanci. I tak zaczęło się....

Przywieziono nas do Aresztu Śledczego, wówczas Więzienia Karno-Śledczego. Tam ustawiono nas pod murem na podwórzu. Milicjanci kazali stanąć twarzą do muru, ręce założyć na szyję

z tyłu głowy, tak jak nakazywali hitlerowcy. Teczkę oparłem o nogę. Myślałem że nas „rozwałą”. Sądzę, że nie ja jeden tak myślałem. Z tyłu za nami schodzili ubrani po cywilnemu bezpieczniacy, liczyli nas; między bezpieczniakami a nami krążyli milicjanci z pistoletami maszynowymi. Wyglądało groźnie. Milicjanci zaczęli nas obmacywać szukając broni. Po stwierdzeniu, że jej nie mamy, kazano opuszczać ręce. Wraz z tym poleceniem niepokój ustawał. Nie będzie „rozwałki”. Spojrzałem po szeregu współaresztowanych. Twarz znajoma mignęła jedna: aplikanta sądowego Janusza Kampfa, a może jego brata Sylwiana. Dużo było stosunkowo pocztowców w urzędowych szynelach.

Z kolei pozwolono się odwrócić od muru, w prawo zwrot, i wchodzić do więzienia. Do gmachu, do którego tyle razy wchodziłem jako obrońca, teraz wprowadzono mnie jako więźnia.

W niedzielę, 22 października, osadzono mnie z czterema innymi w celi. Ci czterej to ppłk AKM., księgowy Nabak, robotnik Piróg i mgr wf, którego nazwiska nie pamiętam. Już trzeciego dnia zaczęto wywoływać na przesłuchania.

Byłem przesłuchiwany przez około 5 godzin. Chodziło o to, abym obciążył jakimś przestępstwem, choćby tzw. szeptanką, Księdza Administratora Apostolskiego, Milika. W naszych rozmowach nigdy żadnej „szeptanki” nie było. Dla przyszłych pokoleń: „szeptanka” to pomówienie (najczęściej zarzobliwe lub w formie plotki) władzy państwowej lub organu partii albo sprzymierzeńca i jego organów. Oczywiście mówiłem tylko prawdę, a w niej nie było nic obrażającego ani mnie, ani Ks. Infulata Milika. Pisałem życiorys oraz charakterystykę Ks. Infulata. Po

przeczytaniu tych moich pism przesłuchający oświadczył, że tak pozytywnej charakterystyki nawet sam ksiądz Milik nie byłby napisał. Gdy wreszcie ściemniało, przesłuchanie się zakończyło i zapłonęły lampy, przesłuchujący powiedział mi: „*Jesteście, mecenasie, twardy, trzeba was zmiękczyć*”.

Znalazłem się w karcu, jakby w trumnie za życia. Karc była to cela bez okien i bez światła. Tylko nad drzwiami było kwadratowe okienko, przez które sączył się niewielki promyczek światła. Mebli nie było, tylko wielka skrzynia drewniana, służąca za miejsce do siedzenia i leżenia, oraz kibel. Byłem w tym karcerze 8 dób. Wyszedłem w piątek, 3 listopada 1950 roku.

Ogólne wrażenie z karca. W ciemności zaczęły się pojawiać optyczne złudzenia: otwierały się jakby okna, a za oknami rozświetlone, fantastycznie piękne pejzaże, to znów pojawiał się otwór drzwiowy, a za nim schody. Obrazy te bardzo intensywniały i miałem ochotę wejść na te schody albo skoczyć przez okno do ogrodu. Bardzo obawiałem się, czy nie zwariuję.

W piątek, 3 listopada, otwarły się drzwi karca. W świetle jasnego dnia, w drzwiach ukazał się rosły mężczyzna w kraciastej koszuli. Myślałem, że to zwiastun wolności, ale nie. Przedstawił się jako inspektor z ministerstwa i spytał, jak dawno przebywam w karcu. Powiedziałem, że ósmy dzień. Odpowiedział: sprzecznie z prawem, proszę się ubierać i wychodzić. Obiad już jadłem w swojej celi. Skład „pensjonariuszy celi” nieco się zmienił. Przybył student medycyny Laber i mgr praw Szczorba, a ubył Piróg i mgr wf. Opowiadałem o przeżyciach w karcu. Kolację podano chyba wcześ-

niej niż zwykle. I oto, po dwudziestu kilku dniach, pewnego wieczoru zażgrzytał zamek i ukazały się dwie postacie: oddziałowego i tego oficera bezpieczeństwa, który przesłuchiwał mnie 26 października. Kazali iść z nimi do przechowalni ubrań; nie była to jednak droga do wolności, ale po ubraniu się w płaszcz i kapelusz zaprowadzony zostałem do gmachu bezpieki, czyli Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego.

„STÓJKA”. Wówczas nie znałem jeszcze tego słowa. Oznacza ono przetrzymanie aresztanta w pozycji stojącej, bez snu, przez wiele godzin. O stojce chciałbym powiedzieć nieco więcej: a więc kazano mi stać przy kaloryferze, w płaszczu zimowym, tak że pociełem się potężnie, posiłku żadnego na kolację mi nie dano, potem poprowadzono korytarzami do innego pokoju, gdzie piszący na maszynie, kończyli dzień pracy. Zwracali cały czas na mnie uwagę, abym stał, ale obecnie pozwolono mi już zdjąć płaszcz. W jednej ręce trzymałem płaszcz, w drugiej kapelusz. Gdy urzędnicy zaczęli wychodzić, spytałem, kiedy będę przesłuchiwany; odpowiedziano, że na wszystko przyjdzie czas. Ostatni z tych maszynistów poprowadził mnie do urzędnika, który składał skoroszyty w teczki. Pozwolił mi powiesić płaszcz i kapelusz na stojaku i stanąć pod stojakiem. Stałem wyprostowany, więc zwrócił mi uwagę: „*Nie stojcie tak na baczność, stojcie luźno, można oprzeć się o ścianę*”. Dodał jednak: „*Ale stać musicie*”. Po raz pierwszy usłyszałem jakąś nutkę życzliwszą. Kilka lat później spotkałem znów tego człowieka. Był kierownikiem wydziału kadr Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej. Wtedy usiłował mi zaszkodzić: stawiał veto przeciw przyjęciu mnie do

pracy w Prezydium w charakterze radcy prawnego. Nazywał się Dutka. Ale mój nocny Dutka był dla mnie łaskawy. Potem przychodzili inni oficerowie UB i zabierali mnie do innych pokoi; tej nocy byłem chyba jeszcze w jednym pokoju, nad ranem w innym, potem znów w innym. Przez pierwszą dobę nie podawano mi nic do picia ani jedzenia. Drugiego dnia pod wieczór zaproponowano mi, bym usiadł i spisał jakiś protokół. Już nie pamiętam, o co pytano i co mówiłem. Wiem, że mówiłem prawdę, a więc nic obciążającego mnie, ani innych. Wtedy też zapytali: „Czy nie jesteście głodni?” Odpowiedziałem, że przede wszystkim chcę pić. Powiedzieli, że na mój koszt, a że mam w kopercie w aktach skonfiskowane starych 5000 zł, można by w kantynie kupić piwo, kielbasę i bułkę. Skwapliwie zgodziłem się na to. Przyniesiono mi 2 bułki, około 25 deka kielbasy i flaszkę piwa. Łędko zjadłem i wypilem, gdy już kazano zabierać mi płaszcz i kapelusz i pójść na inną salę. I znów zaczęła się wędrówka od pokoju do pokoju.

Było już chyba po północy, gdy przyszedł po mnie oficer, który przedstawił się w czasie mego aresztowania jako Sadowski. Był to ten sam młody oficer, który wraz z trzema milicjantami przeprowadził w nocy z 21 na 22 października rewizję w moim mieszkaniu, a potem mnie aresztował i zaprowadził na pl. Gottwalda. Wtedy był w mundurze leśnika, teraz był w mundurze wojskowym. Zaprowadził mnie do jakiegoś pokoju, gdzie stały zsunięte 2 czy 3 stoły, a szeroko otwarte drzwi z sąsiedniego pokoju rzucały snop światła do pokoju, w którym kazał mi w rogu stanąć obok wieszaka, gdzie – jak zwykle – powiesiłem płaszcz i kapelusz. Oficer też powiesił

czapkę. W tamtym oświetlonym pokoju terkotała maszyna do pisania. Sadowski podszedł do mnie i surowo zapowiedział: „*Macie stać, rozumiecie, nie wolno ani siadać ani klękać*”, a sam wszedł do pokoju, gdzie była maszynistka. Byłem oświetlony światłem i on mnie obserwował. Rozpoczął flirt z maszynistką, a potem weszli oboje do pokoju, gdzie stałem w kącie. On kazał mi odwrócić się do ściany, a potem mimo jej oporów doprowadził do tego, że położyła się na zsuniętych stołach i ... Dało mi to trochę ulgi, bo w tym czasie usiadłem w pozycji kucznej, a gdy skończyli się kochać, znów stanąłem. Nad ranem byłem już półprzytomny. Potem dostałem już więzienną „kawę” i kawałek chleba na śniadanie. Potem zaczęły się przesłuchania. Byłem w jakiejś sali, gdzie stały pulpity. Dano mi papier i ołówek, kazano pisać charakterystykę. Adwokat Julian Maciejewski, wówczas gorliwy działacz Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej, o którym napisałem, że jego miłość do Związku Radzieckiego jest obłądą, dzięki tej charakterystyce stracił funkcję lektora tego Towarzystwa, co zresztą sobie chwalił. Przyniesiono mi obiad więzienny. Jadłem tuż przy pulpicie. Pilnowano starannie, abym w czasie tej trzeciej doby nie usiadł.

Wreszcie zaczął się wieczór: pokoje opustoszały i znów zaczęto mnie przeprowadzać z pokoju do pokoju. Tak trwała trzecia noc. Byłem zupełnie oszołomiony. Co chwila nachodziły mnie sny, śniąc chwiałem się na nogach i wówczas krzyk pilnującego budził mnie. Nadszedł trzeci świt. Pilnujący na chwilę wyszedł. Momentalnie usiadłem na podłodze. Za chwilę wbiegli dwaj oficerowie. Zaczęli krzyczeć, bym stanął i wyzywać mnie od skur-

wysynów, bandziorów itp. Nie miałem sił stanąć. Pomyślałem: niech ze mną robia, co chcą, niech mnie bija, a nie wstanę. Wówczas jeden z nich chwycił mnie za kołnierz, dalej rozdierając marynarkę i siłą postawił na nogi. Wtedy straciłem przytomność i upadłem. Uderzyłem głową o podłogę i odzyskałem częściowo przytomność, ale leżałem dalej z zamkniętymi oczyma. Chwycili mnie za rękę, aby podnieść, ale bezwładnie znów opadłem na podłogę. Pobiegli gdzieś i za chwilę wrócili i polali mi głowę wodą. Gdy otworzyłem oczy, zobaczyłem, że lali na mnie wodę sodową z dwóch butelek. Pozwolili mi usiąść na podłodze, potem było jeszcze jakieś przesłuchanie, potem dali przyniesiony z więzienia obiad, potem znów kilka godzin stałem, a o zmierzchu poprowadzono mnie oślepionego brakiem okularów i o nogach obrzmiałych jak nogi słonia do więzienia na Świebodzką (...)

W KWIETNIU DORECZONO MI AKT OSKARŻENIA Prokuratury Wojewódzkiej. Nie powiedziano mi, że Prezes Sądu Wojskowego Ostapowicz uznając, że nie ma znamion przestępstwa w tym, co zarzucał mi wojskowy akt oskarżenia i umarzając sprawę w Rejonowym Sądzie Wojskowym, zamiast wypuścić mnie na wolność, przekazał akta Prokuraturze Wojewódzkiej. Ten akt Prokuratury Wojewódzkiej był powtórzeniem po-

przedniego aktu oskarżenia. Zażądałem papieru i pióra, aby postawić wniosek dowodowy. Na okoliczności, że w rozmowach moich z Ks. Infułatem nie było żadnych cech przestępczych, proponowałem jako biegłych prof. Mycielskiego i dziekana Rady Adwokackiej prof. Świdę. Dano mi bibułkę i ołówek, który rozdierał tę bibułkę. Był to specjalny ołówek do odbijania wielu kopii. Mimo to wniosek napisałem, ale potem stwierdziłem w aktach, że tam nie dotarł.

Od lutego siedziałem samotnie w celi piwnicznej, o małych oknach do zrzucania koksu, zamalowanych szarą farbą, czyli w półmroku. 25 maja wyprowadzono mnie na rozprawę w słoneczny jasny dzień. Gruczoły łzowe nie wytrzymały tego, polały się z obu oczu łzy i od tego czasu mam obustronną kaprę. Rozprawę sędzieja Łoziński odroczył. Nie pozwolił mi na przywitanie się z żoną i matką, ani na widzenie.

Potem nadeszło z Warszawy cofnięcie aktu oskarżenia (już był czerwiec), a 19 czerwca wyszedłem na wolność.

Przed aresztowaniem ważyłem 90 kg, a po wyjściu z więzienia 55 kg. Miałem silne bóle serca (blok), rozstrój organów trawiennych i kaprę (chroniczny katar gruczołów łzowych). Blok i kapra pozostały pamiątką na całe życie.